

Rozmowa 2.

Mariusz Ziółkowski

Archeolog, studiował archeologię i historię sztuki na UW, profesor nauk humanistycznych, profesor UW i Uniwersytetu Katolickiego Santa Maria w Arequipie (Peru), na terenie tego kraju kieruje Centrum Badań Andyjskich UW, jeden ze współtwórców „Solidarności” na UW, obecnie, od kilku kadencji wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” UW, reprezentuje ten związek zawodowy w Senacie UW.

Wywiad: Igor Tomecki, absolwent finansów, rachunkowości i ubezpieczeń na Wydziale Zarządzania UW, obecnie studiuje prawo i zarządzanie na tej uczelni (jest studentem III roku), studia magisterskie w zakresie finansów i rachunkowości kontynuuje w Szkole Głównej Handlowej, działacz studenckich kół naukowych, współpracownik-wolontariusz Centrum Historii Organizacyjnej WZ UW

Transkrypcja: Julia Gruca, absolwentka ekonomii w Szkole Głównej Handlowej, studentka III roku prawa na Wydziale Prawa i Administracji UW, studentka studiów magisterskich z ekonomicznej analizy prawa w Szkole Głównej Handlowej, członkini Studenckiego Koła Ekonomicznej Analizy Prawa; Adrian Jaworski, absolwent finansów, rachunkowości i ubezpieczeń na Wydziale Zarządzania UW, obecnie student II roku zarządzania, socjologii stosowanej i antropologii społecznej oraz Artes Liberales na wspomnianej uczelni, także tutaj kontynuuje studia finansowe na poziomie magisterskim, działacz studenckich kół naukowych, współpracownik-wolontariusz Centrum Historii Organizacyjnej WZ UW

Część II. Wywiad w ramach projektu „Pamiętanie o stanie wojennym na UW” powstały jako rozwinięcie wywiadu poprzedniego

IGOR TOMECKI: Nie będę ukrywał, że to dla mnie ogromny zaszczyt móc porozmawiać z Panem Profesorem, bo wiem o tym, że w kuluarach jest Pan Profesor nazywany „polskim Indianą Jonesem”.

MARIUSZ ZIÓŁKOWSKI: Aaaa, bez przesady. Bez przesady.

Przechodząc do samego stanu wojennego, czyli głównego tematu dzisiejszej rozmowy – czy może mi Pan Profesor powiedzieć, w jaki sposób zrodził się pomysł organizacji Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty?

On się nie zrodził na Uniwersytecie Warszawskim. To była inicjatywa ogólnopolska. Sprawa była wtedy bardzo dynamiczna. Proszę pamiętać, że mówimy o rzeczach, które się działy w sierpniu, wrześniu 1980. Po prostu informacje, jakie przychodziły przede wszystkim z Pomorza, chociaż również ze Śląska, były takie, że „Solidarność” będzie związkiem dla pracowników dużych zakładów pracy. W rodzaju właśnie stoczni czy kopalń. Przewidywano, że będzie to pion techniczno-robotniczy, bez miejsca dla naukowców. Ale tam, na tej fali powstała myśl, że my też musimy mieć w takim razie jako przedstawiciele środowiska akademickiego i nauczycielskiego własne związki zawodowe. Na ówczesnym Wydziale Historycznym zakładaliśmy z moim kolegą – obecnie znanym egiptologiem, Zbigniewem Szafrąnskim, tak zwanego dziewięcioliterowca. I to był taki klon początkowo „Solidarności”, następnie to się udało bardzo szybko połączyć.

Stąd też później fuzja „dziewięcioliterowca” i „Solidarności”?

Tak jest.

Wspominał Pan Profesor, że najciekawsze miesiące karnawału „Solidarności” spędził Pan za granicą w Ekwadorze. W rozmowie z doktor Anną Modzelewską wspominał Pan Profesor o tym, że pewnym barometrem politycznym było to, w jaki sposób był Pan Profesor tam traktowany w momencie odbierania poczty. Jak w tamtych czasach wyglądało przyznawanie bardzo prestiżowego stypendium zagranicznego bardzo daleko od bloku państw socjalistycznych?

To była dość ciekawa sytuacja, którą może pokrótce opiszę. Ja byłem już po jednym pobycie w Ameryce Południowej. W 1978 byłem zastępcą kierownika pierwszej

polskiej wyprawy naukowej w Andy, kierowanej przez obecnie już emerytowanego doktora habilitowanego Andrzeja Krzanowskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pracował wtedy nad doktoratem, był świeżo po rozpoznawczych badaniach w Andach i zorganizowaliśmy taką ekspedycję z kilku ośrodków. Z Poznania, Warszawy i Krakowa przede wszystkim. Ja byłem zastępcą Andrzeja Krzanowskiego do spraw archeologicznych, a drugim, do spraw etnologicznych, był znany już wówczas antropolog, Aleksander Posern-Zieliński. To było pierwsze moje terenowe doświadczenie w Ameryce Łacińskiej. Jak tylko wróciłem, to zacząłem się zastanawiać, jak tam ponownie pojechać, ponieważ to była moja specjalizacja. Jak Pan rozumie, stypendiów polskich nie było, ale Uniwersytet Warszawski miał wtedy umowę z Uniwersytetem Centralnym w Quito w Ekwadorze, który teoretycznie oferował możliwość przyjazdu polskich specjalistów. Więc złożyłem o to papiery, ale mi od razu powiedziano: „No wie Pan, ten uniwersytet ciągle strajkuje, to to, że Pan dostanie nawet ten grant – od nich – to szanse, że Pan pojedzie, będą żadne”. I w którymś momencie bardzo miła pani z naszego ówczesnego Biura Współpracy z Zagranicą UW zadzwoniła do mnie z taką propozycją: „Wie Pan, Panie Mariuszu, tutaj przyszło od Ekwadorczyków takie dziwne zaproszenie, że jest taki instytut prywatny – Instituto Otavaleño de Antropologia, nie w Quito, tylko na północ od niego, w miejscowości Otavalo, który oferuje dwa stypendia. Czy ja mogę przerzucić pańskie papiery na tę drugą ofertę? Bo ta pierwsza, to Pan wie...”. „No i dobrze – mówię – niech Pani przerzuci”. Nie wierzyłem w to, że to dostanę. I kolejność była taka: zakładamy sobie tego „dziewięcioliterowa”, tutaj działalność, wszystko pięknie, ładnie, a tu odzywa się telefon: „Panie Mariuszu, dlaczego Pana jeszcze nie ma w Ekwadorze?”. Mocno mnie to zaskoczyło: „Zaraz, dlaczego mam być w Ekwadorze? Z jakiego tytułu?” – „No bo dostał Pan... Ekwadorczycy dali Panu to stypendium”. Wtedy przeprowadziliśmy poważną rozmowę z żoną, bo wcześniej dowiedziałem się, że będziemy mieli dziecko. No więc [śmiech] taki drobny problem. Mówię żonie: „Dostałem to stypendium”, a ona spokojnie: „Jedź. Przecież to nie ma w ogóle gadania – jedź” [śmiech]. Pojechałem na stypendium, a żona została z problemami związanymi z nadchodzącym macierzyństwem. Teraz pytanie, które Pan zadał, bo też się zastanawiałem, dlaczego to stypendium dostałem. Mogę tylko domniemywać, ale chyba między innymi dlatego, że ten ekwadorski instytut był taki co najmniej lekko, a może nawet dość mocno, lewicujący. I moim poprzednikiem na tym stypendium był radziecki badacz, Jurij Zubryckij. Dyrekcja instytutu prawdopodobnie pomyślała sobie coś takiego: „Mieliśmy człowieka ze Związku Radzieckiego, to teraz weźmiemy kolejnego z kraju bloku wschodniego”. Troszeczkę się pomylili, jeżeli chodzi o ocenę mojego światopoglądu, ale to byli przeuroczy ludzie. Znakomicie wspominam ten kraj.

Choć z drugiej strony oderwali Pana Profesora od świeżo tworzących się struktur...

A co miałem zrobić? Żona powiedziała, że mogę jechać, to pojechałem. Tam na miejscu oczywiście na tyle, na ile mogłem, różne moje poglądy manifestowałem w sposób, który wzbudzał zgrozę naszych biednych dyplomatów. I ja im nawet współczuję – bo niech Pan się postawi w ich ówczesnej sytuacji. Przecież to byli ludzie uwikłani w pewien system i musieli działać według tego, jakie im ten system ramy nakładał. W miarę tego, na co oni mogli sobie pozwolić, byli mi bardzo życzliwi. Były jednak pewne momenty, że odczuwałem zgrozę. Żeby jednak było jasne – ja naprawdę nie wspominam ich źle. Zachowywali się tak, jak musieli.

Zresztą „powiew Solidarności” dotarł też tam i to nie tylko z powodu mojego znaczka w klapie marynarki. Opowiem Panu taką anegdotkę. Otóż w trakcie jednej z takich faz „odwilży” w relacjach z ambasadą przyszedłem po listy, a tu sam ambasador prosi mnie do gabinetu. „Może koniaczku?” – proponuje. Nie odmówiłem, bo widzę, że jest jakiś markotny. Zapytałem: „Ekscelencjo, czy coś Pana trapi?”. Ekscelencja wyraźnie miał ochotę się wygadać przed kimś, kto, jak słusznie podejrzewał, nie doniesie potem na niego do Warszawy, więc mi opowiedział historię, którą teraz Panu streszczę.

Otóż jakiś czas przed moim przybyciem do Ekwadoru został tam przysłany młody, energiczny polski misjonarz z pewnego zgromadzenia zakonnego, którego, pozwoli Pan, że nie wymienię, bo choć minęło tyle lat, nie wiem, czy jego zwierzchnicy byliby zadowoleni z ujawnienia tej tożsamości. Misjonarz był, jako się rzekło, pełen sił i zapału, niewątpliwie wcześniej jakoś uwikłany w działalność związkową, choćby przez swego krewnego, bodaj brata, działacza „Solidarności”. Tego ekwadorskie władze kościelne chyba nie wiedziały, czego dowodem był fakt, że bez zastanowienia zdecydowały „rzucić go na trudny front” – dostał parafię w portowym mieście Guayaquil. Problemy typowe dla każdego takiego miejsca, a tam już szczególnie nasilone: bieda, fatalna infrastruktura, prostytutka i tak dalej. Ksiądz przeanalizował sytuację i stwierdził, że bardzo istotnym problemem są, wywodzące się ze środowiska pań świadczących wiadome usługi, samotne matki z dziećmi. Jak w wyniku rzeczonych usług pojawi się dziecko, to co wtedy? Ksiądz założył zatem dom samotnej matki, który sfinansował ze środków parafii. Wywołało to lekki szok w ekwadorskim episkopacie, ale sprawa jakoś „przyschła”. Kolejna już nie. Ale po kolei. Otóż jednym z głównych towarów eksportowych Ekwadoru były wówczas, i są nadal, banany. Tyle że czterdzieści lat temu nie było takich możliwości składowania w chłodniach, jak teraz: banany należało prawie natychmiast po przywiezieniu z plantacji do portu ładować na statki. Zajmowali się tym sezonowi robotnicy, niezwykle mizernie opłacani. Narastał wśród nich bunt. I tu przyszedł z pomocą ksiądz: doradził, jak się zorganizować, jak działać i wybuchł

strajk. Dzięki dobrej organizacji, tudzież gnijącym w składach tonom bananów, strajkujący wygrali: dostali lepsze stawki i formę opieki prawnej. Miarka się przebrała – postanowiono więc wysłać księdza możliwie daleko od Guayaquilu. Tym razem wybrano dla niego parafię w selwie, czyli tropikalnym lesie na wschodnich stokach Andów. Zakładano zapewne, że tam misjonarz nie będzie miał kogo podburzać. I tu się mocno pomyłono: kilka miesięcy później przyszła wiadomość, że zorganizowani przez księdza chłopci zajęli miejscową hacjendę i rozparcelowali ziemię. Tego było już za wiele. „Wczoraj – rzekł ambasador, patrząc na mnie ze smutkiem – przyszła z tutejszego ministerstwa nota, że ksiądz X jest persona non grata i ma opuścić Ekwador w ciągu czterdziestu ośmiu godzin”. Łyknąłem koniaku i spytałem: „Ale w takim razie nie bardzo rozumiem, czym się Pan Ambasador martwi? No owszem, chodzi o Polaka, ale przecież to nie pański pion, tylko kościelny”. Na co ambasador: „Pan niczego nie rozumie, Panie Mariuszu. Niech Pan na to spojrzysz z mojej perspektywy. Wyobraźmy sobie, że Ekwadorczycy decydują się wyrzucić z kraju, za działalność wywrotową, na przykład drugiego sekretarza mojej ambasady. Oczywiście, jest skandal, ale w MSZ w Warszawie widzą, że my tu coś robimy, działamy dla sprawy. A jak wyrzucają księdza, to jak ja wyglądam jako szef placówki?”.

Takie to były dylematy ówczesnego aparatu władzy spowodowane „powiewem Solidarności” docierającym nawet tak daleko od kraju.

Jeżeli żona pozwoliła, to rozumiem, że nie żałuje Pan wyjazdu i tego, że nie miał Pan okazji przez to brać udziału w formowaniu się struktur opozycyjnych w Polsce?

Co to znaczy „żałować”? No tak się ułożyło życie. Podam Panu jeden przykład. W tym samym czasie poznałem najpierw w Ekwadorze, a później odwiedziłem w Peru, wspaniałych ludzi, Polaków, którzy dokonali wielkiego odkrycia, którego czterdziestą rocznicę teraz świętujemy – zdobyli, przepływając na kajakach, kanion Colca, najgłębszy kanion świata. Spotkałem się z nimi w Peru już po tym przepłynięciu, zresztą trochę im nawet pomagałem w tłumaczeniach pierwszego opisu ich wyczynu. Bardzo fajne chłopaki z klubu „Bystrze”, krakowskiego klubu turystyki kajakowej. Wielkie osiągnięcie. Przyjął ich ówczesny prezydent Peru, Fernando Belaunde Terry. Przedtem przymierali głodem, a po tym wyczynie mieli wszystko, mieszkali w najlepszych hotelach, zabiegano o spotkania z nimi. Później zdążyłem wyjechać, oni jeszcze zostali, bo mieli pojechać do Argentyny, zdobywać tam kolejne rzeki. Nagle nadchodzi stan wojenny – co oni robią? Spotykają się z peruwiańskim noblistą, Mario Vargasem Llosą, i organizują wspólnie z nim wielką manifestację poparcia dla „Solidarności”, z marszem pod ambasadę Rzeczypospolitej Ludowej w Limie. Po tym „numerze” już nie mieli powrotu do Polski. Wszyscy pojechali do Stanów Zjednoczonych, zrobili tam karierę, osiedlili się –

całkowicie im się życie zmieniło. Zostawili w Polsce rodziny, przyjaciół, wszystko. Ten jeden gest tak zmienił ich życie. Ktoś dzisiaj może zadać im pytanie: „Czy żałujecie waszego wyboru?”. Rozumie Pan, to są rzeczy, które się dzieją. Nie ma tak, jak u Stanisława Lema w znanym eseju, który pewnie Pan czytał (bo to rok Lemowski przecież) – *Powtórka*. Z możliwością cofania się w czasie i zmieniania swoich decyzji. Stało się.

Myślę, że dla polskiej nauki to była dobra decyzja.

Dziękuję za dobre słowo. Teraz można tak to ocenić. A wówczas? Kto przypuszczał, że generał Jaruzelski¹ podejmie takie kroki? Jak wróciłem, zdążyłem się jeszcze załapać do działalności związkowej, od razu dołączyłem do tego, co się wtedy działo. Byłem w służbie porządkowej na strajku, potem przygotowywaliśmy kolejny u nas na archeologii. Jednak to były już tylko jakieś dwa miesiące.

Jak wyglądały działania w służbie porządkowej podczas strajku na Uniwersytecie Warszawskim? Jak Pan Profesor to wspomina?

Generalnie wśród pracowników i studentów było dużo zrozumienia dla tego, o co tu chodzi, ale nie ukrywam, że zdarzały się przypadki jego zupełnego braku, a wręcz wrogości, ze strony tych pracowników, którzy widzieli się po drugiej stronie barykady. Pamiętam, że wtedy zablokowaliśmy, znaczy zamknęliśmy, bramę Uniwersytetu od strony ulicy Oboźnej. Wpuszczaliśmy tylko niektórych. Jeden z pracowników, którego nazwiska nie wymienię, teraz jest już chyba emerytem, po prostu przepchnął mnie swoim samochodem, kiedy próbowałem mu zagrozić drogę. Takie rzeczy się zdarzały. Oczywiście odpowiednio nas przy tym potraktował słownie, co on o tym wszystkim myśli i tak dalej, ale też posunął się do takiego, dość brutalnego, działania fizycznego. Przepychanie kogoś samochodem nie jest przesadnie bezpieczne. Tak że zdarzały się i takie, na szczęście odosobnione, przypadki.

W rozmowie z doktor Modzelewską wspominał Pan Profesor także postać babci ciotecznej pańskiej żony. „Dzieci, wy się nie umiecie bawić”, „Jak trzeba było skomplikowaną sprawę załatwić, to nie ukrywam – babcia szła”. Czy może Pan Profesor nieco przybliżyć jej sylwetkę?

Tu chodziło troszeczkę o efekt psychologiczny. Nie o to, żebyśmy wykorzystywali babcię do jakichś naprawdę dramatycznie niebezpiecznych spraw. Po prostu każda

¹ Wojciech Jaruzelski (1923–2014) objął stanowisko premiera rządu PRL 11 lutego 1981 r.

służba na świecie – tajna, mundurowa czy inna – ma pewien wzorzec tego, kogo należy szukać i na kogo należy uważać. Ja miałem wtedy ledwo trzydzieści lat, można było mnie uznać za młodego, byłem dość wysportowany, czyli wzbudzający natychmiast podejrzliwość, bo podпадаłem pod kategorię tak zwanych potencjalnie wywrotowych. Natomiast starsza pani, idąca z torebką albo koszyczkiem z zakupami, spokojnie, do kościoła – w rzeczywistości aby tam przekazać jakąś informację czy list (nie ukrywam, że używaliśmy kościołów do tego celu, ale również i innych miejsc) – nie wzbudzała takiego zainteresowania ani „panów smutnych”, ani mundurowych. To był taki sposób maskowania. A czego jak czego, ale tego to się babcia za okupacji dobrze nauczyła. No i podstawowych zasad konspiracji. Natomiast do tych naprawdę ryzykownych rzeczy, na przykład do przenoszenia nagrania, które miało następnego dnia pójść do Radia „Solidarność”, nie wysyłałiśmy przecież babci.

Wiem, że został Pan Profesor aresztowany. Jak wspomina Pan ten czas? Jak wyglądały przesłuchania? Czy czuł Pan Profesor, że ta druga strona jest naprawdę przekonana do tego, co robi, czy czuł Pan u nich zwątpienie?

Nie określiłbym tego mianem „aresztowany” – powiedziałbym raczej: „zatrzymany”. „Panowie smutni” pojawili się o szóstej rano u nas w domu, było ich trzech. Zachowywali się kulturalnie, trzeba powiedzieć. Przetrzęsni to, co mieli przetrząsnąć. Myśmy mieli wtedy jedno dziecko, ale do pieluch specjalnie nie zaglądali, zresztą, na całe szczęście, parę dni wcześniej to, co było naprawdę trefne, oj naprawdę trefne, poszło tam, dokąd miało pójść. Ja do dziś nie mówię, do kogo dokładnie to poszło. Nie mówię, że to się jeszcze kiedykolwiek może przydać [śmiech], ale po prostu pewnych rzeczy się nie mówi. Poza jakąś jedną czy dwiema gazetkami niczego nie znaleźli. Zgarnęli mnie, jednak widać było wyraźnie, że robią to trochę bez przekonania. Nawet ta rewizja była robiona niezbyt systematycznie, na przykład nie znaleźli pewnej rzeczy, na którą z pewnością by się natknęli w naszym domu, gdyby poszukali lepiej. To nie było nic specjalnie obciążającego, ale coś takiego, co mogłoby wzbudzić ich zainteresowanie. Tak że pojechałem, znaczy [śmiech] zostałem zawieziony na ulicę Rakowiecką. Pamiętam to przesłuchanie – oczywiście była tam stara zagrywka, już dobrze ograna w filmach – dobry policjant, zły policjant. W tym przypadku: dobry funkcjonariusz SB i zły funkcjonariusz SB. Wie Pan, jak każdy, trochę się naogładałem filmów, więc szybko się zorientowałem, że to taka gra. Po chwili z pokoju przesłuchań wyszedł jeden z tych panów, a drugi mówi: „No to niech się Pan lepiej przyzna, bo jak tamten wróci, to ho, ho”. Odpowiedziałem: „Panie, do czego ja mam się przyznać?”. Po czym, trochę z pomocą pewnych technik relaksacyjnych, zasnąłem. Po prostu zasnąłem, oparłem się na stole i odpłynąłem. Ten gość patrzy na mnie i pewnie myśli: „Co jest? Śpi. Zabieramy go o szóstej rano, a on sobie śpi. No co to

jest?”. Nawet słyszałem, jak on coś takiego mówił przez telefon do tego drugiego, „złego policjanta”.

Złapali mnie przez nazwisko kogoś z rodziny mojej żony, Michała Gruszczyńskiego, znanego geologa, też z podziemnej „Solidarności”. Aresztowali go chyba tego samego dnia, co mnie. I on potem rzeczywiście spędził kilka ładnych miesięcy w więzieniu, natomiast w moim przypadku nie udało się ustalić, żeby poza więzami rodzinnymi cokolwiek nas łączyło. A łączyło, owszem, i to sporo, tylko że Michał słowa o tym nie pisał. Dzięki temu wypuszczono mnie tego samego dnia. Pamiętam – wyszedłem sobie taki zadowolony, że mam to z głowy i żeby się tak odprężyć i odreagować – kupiłem sobie na straganie truskawki [śmiech].

Panie Profesorze, wspominał Pan o tym, że kilka dni wcześniej z pańskiego mieszkania zniknęły te rzeczy, które mogły sprawić prawdziwe kłopoty. Czy to było przeczucie, czy może łut szczęścia?

Nie, to chyba wynikało z tego że „panowie smutni” mieli za dużo zadań i zwyyczajnie nie nadążali. Przede wszystkim nie mieli dobrych danych z obserwacji. Ja otrzymywałem pewne rzeczy i moim zadaniem było przekazywanie ich dalej. Mogę powiedzieć, co to było mniej więcej: to był sprzęt dla Radia „Solidarność”. Chodziło o to, że przecież nie można było po prostu pójść i kupić w sklepie tego, co służyło do nadawania audycji, na zasadzie: „Pani szanowna, niech pani da z półki jeszcze te dwa nadajniczki o dużym zasięgu” – to wymagało innych sposobów i kanałów. Ja byłem po prostu jednym z ogniw pośrednich przekazywania tego sprzętu już bezpośrednio do tej grupy, która nadawała – był to taki łańcuszek. Otrzymywałem, dostarczałem informację, komu trzeba, i przekazywałem dalej. Te rzeczy nigdy nie były w naszym domu więcej niż dzień, dwa maksimum. Zresztą – podkreślam to teraz mojemu starszemu synowi, który już wtedy był na świecie, że on też przyłożył się do działalności „wywrotowej”, dlatego że za pomocą jego pieluszek wycieraliśmy odciski palców z tych urządzeń. Można więc powiedzieć, że mój syn, wtedy niespełna dwuletni, też uczestniczył w strukturach podziemnych „Solidarności”.

Był chyba jednym z najmłodszych członków podziemnej „Solidarności”.

Tak sędzę. Chyba jednym z najmłodszych.

Panie Profesorze, a jak wyglądało zdobywanie takich części? Czy to było chociaż trochę oficjalne, czy wszystko działo się za zamkniętymi drzwiami?

Absolutnie nieoficjalnie. I nielegalnie. Ale ponieważ tu chodzi o osoby, które żyją, a nie upoważniły mnie do powiedzenia, jak to się odbywało, to pozwoli Pan, że na to pytanie nie odpowiem. W każdym razie mogę powiedzieć tyle, że ładny wyrok za to groził.

Oczywiście, rozumiem. W takim razie chciałbym przejść do ostatniego pytania. Stwierdza Pan Profesor, że nie uważa się za wielkiego bojownika opozycji. Dlaczego? Dlaczego – pomimo takiego zaangażowania – nie uważa się Pan za taką osobę? A jeśli nie siebie, to kogo uznałby Pan Profesor za taką osobę?

Nie czuję się upoważniony choćby z tego powodu, że – jak już wspominałem – co ja takiego wielkiego zrobiłem? Tak, ryzykowałem jakiś wyrok. Wtedy, jak mnie zabierali, moja żona się zastanawiała: „Nie wiedzą nic, no to wyjdzie po czterdziestu ośmiu godzinach. Coś wiedzą – kilka miesięcy. Dużo wiedzą – oj niedobrze, oj niedobrze, to męża chyba za parę lat zobaczą” [śmiech]. Więc to były tego rodzaju rozważania. Po prostu takie rzeczy trzeba było robić. I tyle.

A kogo bym uważał...? Było wówczas w podziemiu wielu takich działaczy, za których tacy szeregowi ludzie „Solidarności” jak ja daliby się, jak to się mówi potocznie, pokrajać. Kiedy słucham niektórych z nich teraz, to się zastanawiam: „Boże drogi, co się z nimi stało?”. I tu jedno nazwisko wymienię, bo nie mogę nie wymienić – Władysław Frasyniuk. Przecież Frasyniuk był wtedy legendą, krążyły o nim opowieści, jak o jakimś współczesnym Janosiku. Ile w nich było prawdy, to nieważne, wtedy szalenie podnosiły nas na duchu. I co ten człowiek ze sobą teraz zrobił? Co on ze sobą zrobił? Tylko tyle powiem.

Natomiast jeżeli mówimy o tych osobach, które zdały próbę czasu w zmieniającym się środowisku, to pozwolę sobie wymienić dwie osoby nieżyjące i dwie żyjące. Kornel Morawiecki² na pewno, Zbigniew Romaszewski³ oraz żyjący, do

² Kornel Morawiecki (1941–2019) – polski polityk, fizyk i nauczyciel akademicki. Działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL, w III Rzeczypospolitej poseł i marszałek senior Sejmu VIII kadencji. W 1979 r. związał się z wydawanym we Wrocławiu drugoobiegowym periodykiem „Biuletyn Dolnośląski”. Na przełomie maja i czerwca 1982 r. założył organizację „Solidarność Walcząca” (początkowo posługującą się nazwą „Porozumienie Solidarność Walcząca”).

³ Zbigniew Jan Romaszewski (1940–2014) – polski polityk, działacz opozycji w okresie PRL, doktor nauk fizycznych. W latach 1980–1981 kierował Komisją Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”, członek prezydium zarządu Regionu Mazowsze związku, a następnie w Komisji Krajowej. Wielokrotnie zatrzymywany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. W stanie wojennym ukrywał się. W tym czasie zorganizował podziemne Radio „Solidarność”. Współorganizator półtajnej Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze. Aresztowany w 1982 r., sądzony w dwóch kolejnych procesach, więziony od 1982 do 1984 r. Od grudnia 1986 r.

których mam ogromny szacunek – państwo Joanna i Andrzej Gwiazdowie. Oni z pewnością. Na pewno jest więcej tych, których powinienem wymienić, ale ich po prostu nie znam. Gwiazdów parę lat temu miałem zaszczyt podjąć u siebie w domu. Siedzieliśmy i gadaliśmy ładnych parę godzin. Z Romaszewskim się spotkałem kiedyś przypadkiem na konferencji „Polska Wielki Projekt” w którymś z programów i wymieniliśmy parę słów. Przedstawiłem mu się: „Panie doktorze, ja dla pana wtedy pracowałem” – mając na myśli Radio „Solidarność” – więc sobie wymieniliśmy trochę takich, że tak powiem, „kombatanckich wspomnień”. Niestety, nigdy bliżej nie poznałem Kornela Morawieckiego, spotkałem go tylko na jednym z rocznicowych spotkań „Solidarności”, ale mam wielki szacunek dla tego człowieka. Natomiast jest jeszcze parę osób, na których się bardzo zawiodłem w ostatnich czasach. Nawet takich bardzo bliskich mi z płaszczyzny zawodowej, nie będę wymieniał nazwisk, bo chodzi o osoby funkcjonujące obecnie w polityce. Ale to jest troszeczkę tak, że po zwycięstwie rewolucji zasłużony bojownik-rewolucjonista rzadko jest dobrym urzędnikiem czy działaczem państwowym. To jest inny typ działania. Ma Pan takiego „dynamitarda”, który w czasie starć na barykadzie rzuca, strzela, potem wygrywamy i Pan mu mówi: „Dobrze, teraz zostaw w spokoju ten dynamit, teraz tutaj jest biurko, zostajesz wiceministrem, ministrem, dyrektorem i teraz masz zarządzać”. I ten człowiek się gubi, bo on nie do tego jest stworzony. I taki niestety jest chyba jeden z powodów, dla którego niektórzy ludzie, znakomici w opozycji, się nie sprawdzili potem w zarządzaniu państwem. Niektórzy się po prostu pogubili.

Już Panu wymieniłem, kogo podziwiam, a teraz jeszcze dwie anegdotki dotyczące „Solidarności” z tamtych czasów. Powiedziałem pewną rzecz, która nie do końca może przekonywać czytelników tych osobistych wspomnień. A mianowicie, że w ’83 w czerwcu, kiedy mnie „panowie smutni” odwiedzili, już wyczuwałem u nich totalne zniechęcenie. Tak i nie, bo jeszcze byli tacy, którzy potem zamordowali księdza Jerzego Popiełuszkę⁴. Na pewno ogromne znaczenie miała wizyta w Polsce papieża Jana Pawła II w czerwcu 1983. Ale jeżeli mówimy o jakimś zdecydowanym przełomie w nastawieniu obu stron, to był to pogrzeb księdza Popiełuszki 3 listopada ’84 – kiedy zobaczyliśmy, ilu nas jest, i to poza „koncesjonowanymi” przez władzę uroczystościami, jakimi jednak w pewnym stopniu były spotkania z papieżem. Mimo całego propagandowego zakłamania, którego symbolem był

kierował stworzoną w podziemiu Komisją Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”, która zajmowała się dokumentowaniem przypadków represji i pomocą ofiarom. W obradach okrągłego stołu zasiadał w podzespolu ds. reformy państwa i sądów.

⁴ Ks. Jerzy Popiełuszko (1947–1984) – duchowny rzymskokatolicki, tercjarz franciszkański, kapelan warszawskiej „Solidarności”, obrońca praw człowieka w PRL, zamordowany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, błogosławiony i męczennik Kościoła katolickiego.